Wielkie dni „Zawiszy Czarnego" (4)

NA POŁUDNIE W TOWARZYSTWIE DELFINÓW

Odwiedziny u „Krakowii" w Plymouth. Prima Aprilis. Lecimy przez Biskaje. Gołąbki na pawie. Na skrzydłach sztormu. Psotne fale. Wzdłuż Półwyspu Pirenejskiego. Portugalii piękne brzegi.

31 marca. Rano wchodzimy do zatoki głęboko wrzynającej się w ląd Wielkiej Brytanii. Nad tą zatoką Anglicy zaczęli osiedlać się w 1087 roku, budować port i miasto Plymouth. Mało jest miejsc na brzegach oceanów i mórz tak znakomicie nadających się na przystanie. Niedogodnością Plymouth są jedynie duże różnice dobowe poziomu morza, spowodowane pływami oceanicznymi. Dlatego też część portu zamknięta jest śluzą, za którą pływy nie dają się we znaki statkom cumującym przy nabrzeżach portowych. Nas za śluzę jednak nie puściły portowe władze. Stoimy więc o 200 metrów od brzegu, naprzeciwko wzgórza z mauzoleum pamięci marynarzy brytyjskiej floty, poległych w obu wojnach światowych XX wieku.

Przyglądamy się z ciekawością malowniczej zatoce Plymouth, wielce ufortyfikowanej. Od Kanału La Manche odgrodzona jest falochronem. Falochron strzeżony groźnie wyglądającym fortem. Wzdłuż brzegów miejska zabudowa. Styl typowo wiktoriański – II poł. XIX wieku. Koło nas pływają motorówki i jachty żaglowe. Żeglarze oglądają nas. Pozdrawiają. Pogoda wspaniała. Słońce. 15°C w cieniu. Nic więc dziwnego, że Anglicy, twardzi bądź co bądź ludzie, pływają sobie wpław za naszymi burtami, skaczą z trampolin wmontowanych w skaliste brzegi.

CZWARTEK
ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
Nr 71 15 VI 1989 r. Cena 45 zł

OSOBLIWOŚCI AZJATYCKIEGO KOLEJNICTWA

(PAP). Jedną z osobliwości komunikacji kolejowej jest fakt, iż na kontynencie azjatyckim tory kolejowe aż w 8 przypadkach mają różne szerokości, w związku z czym przejazdy z kraju do kraju tym środkiem lokomocji są wielce utrudnione. Co więcej – w samych Indiach istnieją cztery różne szerokości torów, a po dwie szerokości – w Bangladeszu, Indonezji, Iraku, Iranie, Pakistanie, Syrii i na Cejlonie. Poszczególne szerokości różnią się między sobą nawet w dwukrotnej skali. Koleje azjatyckiego kontynentu są poza tym w słabym stopniu zelektryfikowane; ogólna długość linii, wyposażonych w trakcję elektryczną wynosi 8 tys. kilometrów, z czego 6,5 tys. km przypada na Indie. Dla porównania – w Polsce jest 10 tys. km zelektryfikowanych linii kolejowych.

Liderzy szkolnego boiska

PRZEKLĘTA KONTUZJA

(Inf. wł.) Biegi zawsze były pasją Anki Rebidas (na zdjęciu). Przewodnicząca działającego przy szkole nr 1 w Szczecinku SKS-u uwielbiała dystans 600 m. Dwa lata temu osiągnęła na tym odcinku czas 1.44,1 min, co gwarantowało miejsce w czołówce województwa koszalińskiego. W klasie VIII „przerzuciła" się na 1000 m i już w pierwszym starcie miała rezultat 3.14,0 min. Ucieszyła się z niego bardzo, liczyła na udział w zawodach ogólnopolskich, do których awansowała reprezentacja jej szkoły. I wówczas na jednym z treningów nastąpiło to najgorsze – kontuzja nogi. Wiązadła stawu skokowego nogi nie wytrzymały i skończyły się marzenia o starcie w imprezie centralnej.

Był to chyba najboleśniejszy moment w życiu Anki. Nie dlatego, że noga dokuczała, ale raczej z powodu poczucia bezsilności, przymusowego pauzowania w treningowych zajęciach i zawodach. Gorycz osłodził trochę szkolny plebiscyt na najlepszego sportowca „jedynki". Niemal jednogłośnie znalazła się na pierwszym miejscu, chociaż wcale nie liczyła na tak wielkie wyróżnienie. Kontuzja sprawiła, że może teraz więcej czasu poświęcić ulubionym książkom, historii oraz dokładnie od lat własnoręcznie prowadzonej kronice szkolnego klubu. Już niebawem na zawsze opuści mury „podstawówki" i pragnie, aby pozostał po niej w szkole trwały ślad. I marzy o szybkim powrocie na bieżnię, o poprawieniu osiągniętych pod okiem nauczycieli „jedynki" wyników.

(zp)

Fot. **Z. Przybyłowski**

Tajemnica plantacji oliwek

RZYM (PAP). Od kilku lat ekspedycja archeologiczna Uniwersytetu z Neapolu prowadzi prace wykopaliskowe na Krecie. Przez kilka sezonów wyniki były nikłe, ale w czasie ostatniej kampanii badawczej dokonano rewelacyjnego odkrycia. Do kierownika ekspedycji zgłosił się stary pasterz, który powiedział, że w 1930 r. oczyszczał ze swoim ojcem niewielkie poletko na zboczu góry pod plantację oliwek. Znaleźli wówczas stare naczynia i drewniany sarkofag. Archeolodzy włoscy poszli tym śladem i natrafili na zachowane fragmenty grobu znalezionego przez pasterzy, a w pobliżu odkopali drugi nietknięty grobowiec.

Grobowiec pochodzi z XIII w. p.n.e. – z czasów Wojny Trojańskiej. Znalezione okazy ceramiki, broń i ozdoby idealnie pasują do opisów Homera. Z grobowca wydobyto m.in. 20 starogreckich waz, naszyjników z kamieni szlachetnych, pierścienie i bransolety ze złota i z brązu. Było także wyposażenie wojownika. Napis na glinianych naczyniach głosił, że spoczywa tu wybitny wódz, który wyróżniał się w dalekiej wyprawie wojennej.

Od prehistorii po współczesność

MOSKWA (PAP). Rozpoczęły się prace nad „Encyklopedią Rosyjską", zainicjowane przez Wszechrosyjski Fundusz Kultury. To wielotomowe wydawnictwo obejmować będzie całokształt wiedzy o Rosji i jej mieszkańcach, o kulturze materialnej i duchowej, historii, folklorze, literaturze, religii, wybitnych osobistościach – od czasów prehistorycznych – po współczesność. Włączeni do niej zostaną wszyscy pisarze piszący po rosyjsku z Nabokovem i Sołżenicynem włącznie, a także twórcy nie będący Rosjanami, lecz wywodzący się z kręgu kultury rosyjskiej, jak np. Chagall.

NAJSTARSZA ELEKTROWNIA ATOMOWA – DO LAMUSA!

W. BRYTANIA (PAP). Magnox, to nazwa najstarszej brytyjskiej elektrowni atomowej. Pracowała przez 26 lat. Teraz decyzją Inspektoratu Instalacji Atomowych ma być zamknięta. Powód? Zużyte urządzenia i przestarzałe systemy kontroli wytwarzania energii nie gwarantują całkowitego bezpieczeństwa podczas eksploatacji elektrowni.

Iwonka i Łukasz z zespołu „Pruszkowiacy" zapraszają na str. 4 A tam –

ALBOŚMY TO JACY TACY...

Fot. **CAF**

Owoce zamawiają ...wodę

(PAP). W Państwowym Instytucie Badań Rolniczych (INRA) we Francji wykonano urządzenie do automatycznego podlewania drzew cytrusowych. Jego działanie opiera się na czujnikach bardzo wysokiej czułości wykonanych z inwaru – stopu niewrażliwego na działanie temperatury. Czujniki te reagują natomiast na minimalną choćby, rzędu mikronów, zmianę objętości owocu, na którym są zawieszone. Zasada działania jest prosta. Gdy roślinie jest za sucho, owoce kurczą się – na co czujniki zainstalowane na roślinie reagują natychmiast wysyłając odpowiedni sygnał do dozownika.

Sygnał ten automatycznie uruchamia dopływ wody na tyle czasu, aż nawodniony odpowiednio owoc uzyska ponownie swą dawną objętość.

Naukowcy uważają, że za pomocą podobnie działających urządzeń będzie można już wkrótce kontrolować zaopatrzenie roślin w azot.

Nie zapomnę...

PO PROSTU „KOCHAM SIĘ W NIEJ"

Wiele przeżyłam chwil, których nie zapomnę nigdy. Wesołych, smutnych, groźnych i ciekawych... Długi łańcuszek wzruszeń i rozczarowań. Nie sposób przecież zapomnieć choćby pierwszego i ostatniego dnia długiej szkolnej edukacji czy pierwszej dziecinnej miłości. Nie potrafię ograniczyć się do takiego jednego „niezatartego wspomnienia". Wiele jest dla mnie jednakowo ważnych i... co pewien czas powracają. Na przykład te wszystkie z mego harcerskiego żywota.

Pierwsza zbiórka...

...kiedy to stałam malutka i zagubiona w gronie „olbrzymich dziewczyn w mundurach" pod drzwiami harcówki. To okropne ssanie w żołądku (wtedy byłam jeszcze bardzo nieśmiała). I w niewiele minut później – krąg. Kiedy wszyscy śpiewali żartowali i było im tak dobrze razem, że nawet ja poczułam się wreszcie swojsko i bezpiecznie.

Wycieczka do Zawoi

Męcząca wspinaczka pod okrutnie zabłoconą Grzechynię. Odpoczynek w połowie drogi, herbata u jakiegoś gospodarza i bieg zorganizowany przez poczciwego druha Maćka. (A tak go się wtedy bałam. Wysoki, stale z drwiącym uśmiechem pod wąsem, onieśmielał mnie do granic możliwości.)

Szłam z Jolą po niezbyt wyraźnych strzałkach. Za skarby świata nie mogłyśmy znaleźć ukrytych listów, bez których niemożliwe było dotarcie do mety. Biegałyśmy po całym lesie aż do zapadnięcia zmroku. Wystrachane, bliskie płaczu, nie potrafiłyśmy już w końcu znaleźć nawet drogi powrotnej. I naraz: „Ula! Jolka! Co wy wyprawiacie?!" – to kochana druhna Ania tuż koło nas. Przytuliła biedne harcereczki i poprowadziła do biwaku. Dosłownie drżałam na myśl, że za chwilę stanę oko w oko z druhem, pewnie okropnie zagniewanym. Tymczasem Maciek... po prostu ogromnie ucieszył się z naszego powrotu. Dalej ruszyliśmy wszyscy już po ciemku.

Schronisko. Wygrany przeze mnie konkurs na najczyściejsze buty, nagroda w postaci czekoladki i wreszcie słodki sen. Rano śniadanie podane do łóżka przez uśmiechniętych chłopców, zabawy na polanie i... powrót zakurzonym pociągiem.

Zimowisko

Śnieg po kolana, mróz. Zwiad, „pogotowie harcerskie", uroczyste mycie się w śniegu (wody nie było non stop), znalezienie kochanego kundelka (obecnie „spasiona świnka morska"), nocny bieg, kurs tańca, dyskoteka, kulig, narty, nocne horrory słuchane z głową pod kołdrą, kominki...

Obóz

Ciągłe ulewy, warty nocne, chrzest (phi!), służba w kuchni, potworna grypa (miałam 39° gorączki i zmarnowane trzy dni w izolatce), niespodzianki w postaci paczki od babci i paru słonecznych dni, masa borówek i w końcu ostatnia noc pełna wrażeń. KRZYŻ zdobyty po strasznej samotnej wędrówce przez las i uśmiechnięte twarze „Bedełek" (cudownego najstarszego zastępu, który zorganizował nam tę uroczystość).

I wreszcie

najukochańszy
pod słońcem...

obóz: Osiek Drawski number 2!

Upały iście afrykańskie, nieustające kąpiele w przepięknym jeziorku pierwszej klasy czystości, ogniska z chłopcami, zakochana kadra (i nie tylko), podchody z „Elblągiem", bieg na stopnie (mam ochotnika!)...

To wszystko jest nie do zapomnienia!

☆ ☆ ☆

Uważam, że należę do wspaniałego szczepu i nie zamieniłabym drużyny za nic! Tym bardziej na „granatową", do czego tak namawiają jej członkowie. Moja „zielona" jest super. Dostarczała mi, dostarcza i będzie dostarczać najpiękniejszych wspomnień na całe życie! Po prostu „kocham się w niej", choć, nie przeczę, ma i wady...

Ula K.
korespondentka HSI z Krakowa

GDZIEKOLWIEK BY SIĘ ZNALAZŁ, CZEKAJĄ NA NIEGO KOLEDZY...

Margareta Kiełmińska i Katarzyna Domańska, dwie szesnastolatki z Warszawy, rozmawiają z trzema kolegami, których rodzice przebywają na placówkach w Polsce.

Margareta i Kasia w towarzystwie swoich rozmówców. Od lewej stoją: Grisza, Julian i Dragan

Margareta: *Jak się nazywacie? Ile macie lat? Z jakich państw pochodzicie?*

Dragan: Nazywam się Dragan Skrobić, pochodzę z Jugosławii, z Belgradu, mam szesnaście lat.

Julian: Cześć, jestem Julian Czeneszew, siedemnastolatek. Urodziłem się w Sofii, stolicy Bułgarii.

Grisza: Nazywam się Grisza Lemec. Przyjechałem ze Związku Radzieckiego, z Republiki Estońskiej. Jestem rówieśnikiem Dragana.

Kasia: *Jak długo mieszkacie w Polsce i jak się wam podoba w naszym kraju?*

Dragan: W Warszawie mieszkam od dwu i pół roku i bardzo mi się tutaj podoba, to piękne miasto.

Julian: Jestem w Polsce bardzo długo, bo aż osiem lat. Zdążyłem już dobrze poznać Warszawę i przeżyć w niej wiele miłych chwil.

Grisza: Mieszkam tu dwa lata i od tych dwu lat cieszę się, że mogłem przyjechać do waszego kraju.

Margereta: *Bardzo dobrze mówicie po polsku...*

Dragan: Języka polskiego uczyłem się sam, słuchając radia, oglądając telewizję. Dużo też zawdzięczam kolegom.

Julian: Znam wasz język od małego, ponieważ moja mama jest... Polką. Nie miałem więc najmniejszych problemów z przyswojeniem sobie polskiej mowy.

Grisza: Ja natomiast mam jeszcze wiele trudności w porozumiewaniu się. Podczas tego krótkiego czasu nie zdążyłem nauczyć się mówić po polsku całkiem poprawnie.

Margareta: *Chodzicie do szkoły średniej przy Ambasadzie Radzieckiej w Warszawie. Co możecie o niej powiedzieć?*

Julian: W naszej szkole uczą się nie tylko Rosjanie, ale też Jugosłowianie, Bułgarzy, Niemcy, Czesi i Słowacy, Kubańczycy, Koreańczycy i inni. Chodzimy na lekcje przez sześć dni w tygodniu, odbywają się one w języku rosyjskim.

Grisza: Poza tym w szkole organizowane są różne imprezy – wieczory międzynarodowe, uroczystości urodzinowe, dyskoteki... Bardzo się z nich cieszymy.

Dragan: Uczymy się przede wszystkim języków obcych, które sami sobie wybieramy. Najczęściej są to: niemiecki, angielski, francuski. Ponadto mamy, podobnie jak nasi polscy rówieśnicy, algebrę, geometrię, historię itd.

Margareta: *Czy obowiązuje was specjalny strój szkolny?*

Dragan: Naturalnie. Musimy ubierać się w granatowe marynarki, białe koszule i krawaty. Nasze koleżanki noszą długie ciemne spódnice i białe bluzki. Młodsi uczniowie – mundurki.

Kasia: *Słyszałam, że rosyjska skala ocen różni się od naszej. Czy to prawda?*

Grisza: Oprócz dwójek, trójek, czwórek i piątek istnieją u nas także jedynki.

Julian: Nauczyciele oceniają nas podobnie jak w polskiej szkole. Jasne, że dwójki za źle napisaną klasówkę nikogo nie cieszą. Jedynki są, na szczęście, stawiane bardzo rzadko.

Margareta: *Czy należycie do organizacji działających na terenie szkoły? Jeśli tak, to do jakich?*

Grisza: Jestem członkiem Komsomołu, komunistycznej organizacji dla młodzieży od 14 do 28 lat.

Dragan i Julian: My nigdzie nie należymy.

Margareta: *Czym zajmują się nasi rówieśnicy w waszych krajach?*

Julian: W Bułgarii bardzo popularny jest sport.

Dragan: Mimo że nie utrzymuję stałego kontaktu z kolegami w Jugosławii, wiem, że po odrobieniu lekcji cały wolny czas spędzają w towarzystwie. Lubią na przykład prywatki.

Grisza: Szkoła, kino, dyskoteki, kluby i domy kultury. Moskwiczanie w dni wolne od zajęć lubią przebywać w parkach, w lesie, w ogóle za miastem. Poza tym młodzież radziecka pasjonuje się czytelnictwem. W metrze, w tramwaju, na przystanku autobusowym zawsze można spotkać czytających książki lub ulubione czasopisma. No i – mimo tego że obecnie trudno jest kupić bilety na dobry spektakl teatralny czy dostać się do opery – nie maleje zainteresowanie teatrem.

Kasia: *Czy często jeździcie do domu?*

Julian: Kiedy tylko możemy. Najczęściej w wakacje.

Kasia: *A jak odnosi się do was polska młodzież? Czy nawiązaliście już jakieś przyjaźnie?*

Dragan: Mam wielu kolegów Polaków. Zawsze, kiedy widzą, że potrzebuję pomocy, że sam nie dam sobie z czymś rady, podają mi rękę, pomagają. To jest wspaniałe, bardzo chciałbym te przyjaźnie utrzymać.

Julian: Nie miałem nigdy problemów z nawiązaniem kontaktów w Polsce. Młodzież jest tu wyjątkowo serdeczna, dość szybko znajdujemy wspólny język.

Grisza: Będąc na wycieczkach w Krakowie i Gdańsku poznałem wielu młodych ludzi, z którymi utrzymuję serdeczne kontakty. Lubię Polaków i bardzo sobie cenię ich przyjaźń.

Margareta: *Jakie są wasze plany na przyszłość?*

Dragan: Pragnąłbym zostać sportowcem lub aktorem. Nie liczą się dla mnie pieniądze, najważniejsza jest możliwość robienia tego, co sprawia człowiekowi radość.

Julian: Interesuję się biologią. Chcę zostać chirurgiem kardiologiem i służyć ludziom pomocą.

Grisza: Mój wymarzony zawód to technik elektronik. Ciekawi mnie konstruowanie komputerów, nie programowanie ich.

Kasia: *Co chcielibyście powiedzieć czytelnikom „Świata Młodych"?*

Dragan: Jeżeli kiedykolwiek ktoś z nich wyjedzie za granicę, czy to będzie Czechosłowacja, Jugosławia, Związek Radziecki czy Węgry, niech wie, że gdziekolwiek by się znalazł, czekają na niego koledzy, tak jak na nas tutaj czekali serdeczni Polacy. Życzę im wszystkiego najlepszego, przyjaźni z kolegami z innych państw i tego, by się na nich nie zawiedli.

Julian: Ja im życzę, żeby byli szczęśliwi.

Grisza: Chciałbym wszystkim czytelnikom powiedzieć „cześć".

– *Cieszymy się ze spotkania z wami. Dziękujemy za miłą rozmowę.*

Margareta i Katarzyna

Wspaniała ósemka Coli

„Redakcyjna Poczto", mam 16 lat i ukończyłem już szkołę podstawową, ale nadal czytam różowy pasek. Piszę w sprawie Ketty i jej koleżanek (nr 22 „ŚM"). Kiedy przeszedłem do siódmej klasy, doszło do nas paru „dżentelmenów", którzy zachowywali się podobnie jak koledzy Ketty. Była to „groźna 10". Gdy szli korytarzem, uczniowie (nawet z VIII klasy) uciekali. To byli tylko chłopcy z naszej klasy. Mieliśmy najgorszą frekwencję i oceny. Taka była opinia – klasa VII B pogromczyni szkoły.

Po pewnym czasie postanowiłem wraz z moimi siedmioma pozostałymi kolegami przeciwstawić się im. Mój ojciec jest instruktorem karate i zaczął nam dawać prywatne lekcje (na które ja już od dawna uczęszczałem). Oprócz tego ćwiczyliśmy w jego klubie na sprzęcie siłowym (kulturystycznym). Trwało to 9 miesięcy. Wszystko to robiliśmy w tajemnicy przed „groźną 10" i innymi uczniami w szkole. Wiedziała o tym nasza wychowawczyni i zaakceptowała nasz pomysł. Wysiłek nie poszedł na marne. Po letnich wakacjach zaczęliśmy działać. Byliśmy już w VIII klasie. Każdy skandal „gasiliśmy" świeżą siłą (mieliśmy na to nawet zgodę dyrektora). W szkole panowała „Wspaniała 8 COLI".

Jeszcze w I semestrze zmusiliśmy ich do nauki. Jeżeli któryś z nich dostał „haczka", „naprawiał" to w czynie społecznym np. po lekcjach robili gazetki, pomagali sprzątaczkom. Robili to wszystko pod przymusem. Na siłę odpowiadaliśmy siłą. W połowie II semestru na przerwach lekcyjnych była cisza, bo panowała „Wspaniała 8 COLI".

„Groźna 10" przegrała i razem z nami pilnowała porządku w szkole. Na końcu roku zostaliśmy najlepszą klasą w szkole ze średnią ocen 4,3. W nagrodę pojechaliśmy na 2-tygodniową wycieczkę na Węgry. Wielu z tych chłopców „wandali" uczy się w szkołach średnich i do teraz nam dziękują. To jest raczej oferta dla kolegów Ketty, a Wy, jako dziewczyny, możecie tych wandali wciągnąć do nauki (nawet pojedynczo i stopniowo), jak to robiły moje koleżanki.

COLA

Przeżywam męczarnie

Nigdy nie pisałam do „Redakcyjnej Poczty" i myślałam, że to nie będzie konieczne, ale sprowokowali mnie do tego nieznośni chłopcy w klasie. Jest ich mało bo tylko czterech, ale dwóch z nich to istne diabły z piekła rodem.

Gdy wchodzę do klasy, słyszę przezwiska: „Parówka" (od nazwiska), Gonzo, Fryderyk II. Przezywają mnie z powodu dużego nosa, a przecież to nie moja wina, że nos jest taki. Codziennie wyśmiewają się ze mnie, a jak chodzi o odpisanie zadania, to są mili. Gdy nie dam, przezywają mnie nadal, np. „Skąpiradło". Mówiłam pani, ale oni nadal swoje. Już nie mogę tego znieść, gdy idę do szkoły to jakby na męczarnie, chociaż staram się tego nie okazywać. Napiszcie do mnie, co mam robić.

Zrozpaczona

OD REDAKCJI: To już prawie koniec roku szkolnego, może w następnej klasie te dwa „diabły" się nie znajdą? A jeśli, to staraj się ich w ogóle nie dostrzegać. Udawaj, że to Cię nic nie obchodzi. Tylko tak postępując spowodujesz, że znudzą się swoją rolą. (bs)

Ćwiczenia słownikowe

GODNOŚĆ

Jarku, pozwól na chwilę! – usłyszał głos matematyczki. Już sądził, że uda mu się wymknąć niepostrzeżenie z sali, ale bystre oko wychowawczyni wyłowiło go z tłumu uczniów przepychających się do wyjścia. Serce zabiło mu mocniej, jak wtedy, gdy wsuwał dzienniczek z ocenami i sążnistą uwagą pod szafę w swoim pokoju.

– Kiedy wreszcie pokażesz rodzicom uwagę wpisaną przeze mnie już 10 dni temu? – usłyszał pytanie, którym nauczycielka nękała go od kilku dni.

– Proszę pani, ja naprawdę pokazałem mamie dzienniczek, tylko ona zapomniała podpisać. Naprawdę! – powtórzył to słowo dla podkreślenia szczerości, choć wiedział, że nauczycielka i tak mu nie wierzy. Teraz już nie. Zaczerwienił się, gdy usłyszał złośliwy chichot kilku koleżanek, które podeszły do biurka pani, by o czymś z nią porozmawiać. One dobrze wiedziały, jaka jest prawda. W oczach wychowawczyni nie dostrzegł gniewu, tylko jakiś chłód. Czuł, że zabrnął za daleko w kłamstwa, ale nie potrafił zdobyć się na szczerość. Strach był silniejszy...

Do domu wracał z niechęcią. Wlókł się noga za nogą. Tym razem musi pokazać dzienniczek. Musi, musi... Gdyby tylko ręce się tak nie trzęsły, nie waliło serce, nie kurczył się boleśnie żołądek. Strach podsuwał nowe wykręty, był silniejszy niż rozsądek, niż wstręt do kłamstwa.

Wzmógł się, gdy ojciec – wysoki, silny, o rękach, które tak mocno potrafiły wymierzać karę, spojrzał na niego surowo.

– Co tam narozrabiałeś? Znowu pewnie będę musiał się za ciebie wstydzić – mruczał pod nosem, studiując notatkę nauczycielki. – Powiedz lepiej od razu, co przeskrobałeś, bo pani tu jasno nie pisze.

– No... złapałem trochę dwój, ale przecież w zeszłym roku też tak było, a wyciągnąłem się, pamiętasz? Z rosyjskiego już się zacząłem poprawiać i rozmawiałem z panią od fizyki, co powinienem powtórzyć. Nie będzie źle! Są gorsi ode mnie, a ja przecież wezmę się do nauki... – mówił i mówił, choć ciężki, surowy wzrok ojca paraliżował go.

Byle tylko nie spytał, co jeszcze. Wtedy trzeba by było wyznać wszystko – wagary, ucieczkę z klasówki, okłamywanie i rodziców, i pani. Coś mu szeptało, że to i tak się wyda, ale głupia, bezsensowna nadzieja podpowiadała: a może matematyca skoncentruje się na tragicznych stopniach i o reszcie nie wspomni? Uchwycił się rozpaczliwie tej myśli, uspokoił jakoś.

– Zobaczymy – głos ojca jakby złagodniał. – Daj mi teraz dziennik, a pani powiedz, że przyjdę pojutrze – podpisał uwagę.

Jarek z satysfakcją pokazał nazajutrz podpisane zawiadomienie. Sam prawie uwierzył, że nie było tych dziesięciu dni oszustw i wykrętów.

Przypomniał sobie o nich ze zdwojoną siłą, gdy zobaczył ojca na szkolnym korytarzu. Widział, jak witał się z nauczycielką, jak zamknęły się za nimi drzwi pokoju. Jarkowi wydawało się, że siedzą tam godzinę. W pewnym momencie wychowawczyni poprosiła go do środka. Znów poczuł dobrze znany skurcz żołądka.

– No to jak będzie, synu? – spytał spokojnie ojciec.

Ten spokój dodał chłopcu pewności. Powtórzył swoje zapewnienia i obietnice. Oni zaś milczeli i to milczenie zaczęło go zastanawiać. Nagle zauważył ręce ojca, drżące, zaciśnięte. Nie śmiał podnieść wyżej oczu. I niespodziewanie rozpłakał się gwałtownie. Szlochając, zachłystując się łzami, zaczął mówić:

– Ja nie... nie chcia... łem! To ze strachu, tata zaraz się gniewa, ja... – sam czuł, jak bardzo jest żałosny, ale nie mógł, nie potrafił przestać. Przekrzykiwał strach. Nauczycielka uniosła rękę gestem, którym zwykle prosiła klasę o ciszę. Umilkł blady, zdyszany, poniżony. A wychowawczyni powiedziała tylko:

– Jarku, gdzie twoja godność?

BEATA OWCZAREK

Wielkie dni „Zawiszy Czarnego" (4)

NA POŁUDNIE W TOWARZYSTWIE DELFINÓW

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Zabieramy się do ostrej pracy na pokładzie. Najbardziej zapracowany jest Jacek Majewski, malujący czarną farbą całe nadburcie. Delegacja płynie na spotkanie z miejscową Polonią. Podjechały trzy samochody z Polonusami, którzy zabrali nas na próbę zespołu „Krakowia", do świetlicy osiedlowej wynajmowanej na zebrania raz w tygodniu przez Towarzystwo Anglo-Polskie. Odbyła się próba. Śpiewają ochoczo i ładnie stare polskie piosenki zapomniane

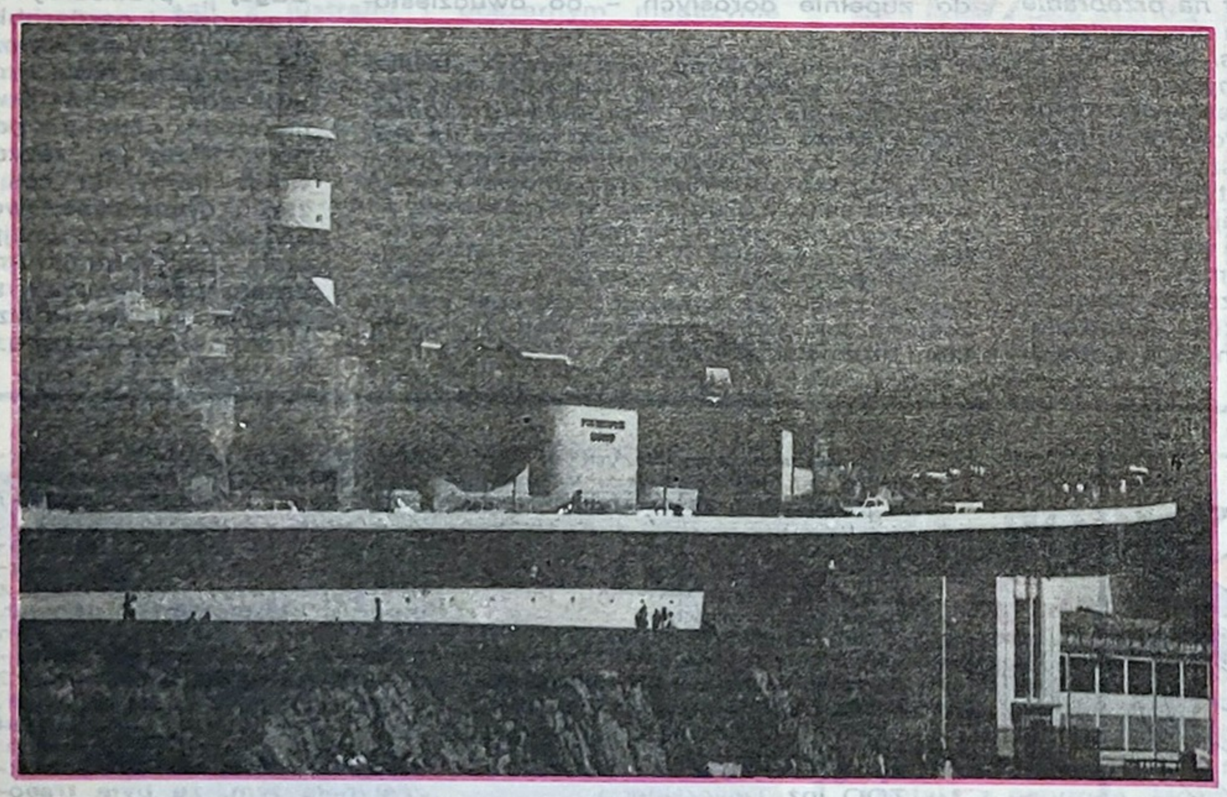

W Plymouth

już niemal doszczętnie. A ze sobą rozmawiają po angielsku. Spotkanie zakończyło się wielkim kręgiem harcerskim z iskrą przyjaźni podawaną z dłoni do dłoni, obyczajem tu od dawna praktykowanym. Odśpiewaliśmy w dwóch językach pieśń pożegnalną „Ogniska już dogasa blask..." I co się okazało. Pan Piątkowski, założyciel Towarzystwa i jego dusza, był przed wojną harcerzem w Stanisławowie i do dziś nim się czuje. Stosuje więc metody harcerskie w pracy także i z Anglikami, którzy stanowią mniej więcej połowę całej grupy. Sporo jest starych, przedwojennych Polaków, ale są także młodzi, są i dzieci. Lubią tę działalność. Bardzo dla nich atrakcyjne są wyjazdy na Festiwale Polonijne do Starego Kraju...

1 kwietnia. Zaspali wszyscy. Niebywałe na statku. Jedyne usprawiedliwienie: Prima Aprilis! Zaraz po śniadaniu jak zwykle szorowanie, pucowanie. Podpłynęła bunkierka z paliwem, podpłynęła ze słodką wodą. A te stateczki poobijane – gdzie im tam do elegancji portowych jednostek w Rotterdamie. Pan Czwarty, czyli Mietek Wachowski, zrobił kapitanowi Prima Aprilis: „Panie kapitanie, chłopcy pomylili wlewy i wlali do ropy tonę wody!" Aż zzieleniał druh kapitan Ludwig. Wybiegł przerażony na pokład. A tu – Prima Aprilis! Po zakończeniu porządków z grubsza, załoga rozeszła się na zwiedzanie sklepów do miasta.

Obiad nasz Misiek zrobił bestialski. Supergrochówa, wielki zraz. Kompot z brzoskwiń. Po kolacji odpływamy. Na trasę IV podetapu: Plymouth–Gibraltar. Od razu Cała Naprzód. I w Atlantyk.

2 kwietnia. Atlantycka fala duża, poważna. Wiatr 5° B i rośnie. Falom przybywa ochoty na psoty. Pod szalupą był upchany worek z ziemniakami do obierania na jutro. Dobrały się do niego fale. Najpierw po huśtającym się pokładzie zaczęły ganiać się pojedyncze ziemniaki, następnie wyczołgał się cały worek, przecisnął się przez odpływ w burcie, powisiał trochę nad falami. Chlup, i już go nie było. Lecimy na żaglach. Wiatr SE. Idziemy bajdewindem lewego halsu. Kurs 220°. Stoją: bomkliwer, kliwer, sztafok, grotsztaksel, bezansztaksel i bezan. Bardzo jest miło. Nie u wszystkich żołądki się zachwycają taką żeglugą. A na kolację były ogromne gołąbki... Ale apetyty dopisują i ludzie są nienażarci. Wyczuł to nasz genialny kucharz i strzelił w nas po trzy opakowania Prince Polo i po cztery ptasie mleczka.

3 kwietnia. Przez Zatokę Biskajską płyniemy już na ośmiu żaglach. W nocy postawiliśmy jeszcze foka i grota. Mamy szybkość 9 węzłów. Kurs 215°, wiatr ze 110° o sile 6° B. Przez dwie godziny pracował bryfok, żagiel sztandar z sylwetą rycerza w zbroi, z tarczą i mieczem. To nasz patron, Rycerz z Garbowa. W czasie dzisiejszych zajęć programowych druh Feliks Szczot, nasz starszy oficer, opowiedział nam o tajemnicach statku przez godzinę i o radionawigacji, również przez godzinę. Było to pasjonujące. Jest to ogromna wiedza, wymagająca wielu lat nauki, a przede wszystkim praktyki morskiej.

Wieczorem wzmaga się wiatr. Robimy już 9,5 węzła. Noc bardzo ciemna. Fale za prawą burtą, oświetlone naszym światłem w bieli pian. Pianę porywa wiatr. Co za szczęście, że płyniemy z wiatrem!

A najważniejszym dzisiejszym wydarzeniem było spotkanie z delfinami. Trzy te przemiłe zwierzaki opływały „Zawiszę" wesoło. Popisywały się zręcznością i zespołową akrobacją.

4 kwietnia. Tuż po północy zrzucamy grota i foka. Żagiel nie chce dać się ujarzmić. Łapie wiatr. Wydyma się. Trzeba go tłuc, wyganiać z niego powietrze. Ale się udało. No bo musiało. A co! Fale wielkie. Dmucha ósemka. I to „tłusta"!

W czasie śniadania do kubryku wraz z Martą weszła fala. Szczególnie dokładnie zmoczyła „Słonia", Rafała I. Nie mówiąc o Marcie, która na plecy wzięła jej cały ciężar. Zalane zostało dokładnie całe śniadanie III wachty.

Obieranie ziemniaków na pokładzie nawigacyjnym. Tu fale nie dochodzą. Wiatr jest cieplutki. Wspaniała żegluga. Fale większe niż w czasie sztormu na Północnym. Ale długie, atlantyckie. Zresztą na żaglach tak nie tłucze, jak na silniku. A w czasie kolacji też było interesująco. Uderzyła fala tak silna, że siedzący przy stole rządkiem ludzie z trzeciej wachty: pan Trzeci, Marta (znowu!) i Maciek przewrócili się w tył, kompletnie przy tym rozwalając stół wachty IV! Szczęściem nikt sobie niczego nie zrobił.

5 kwietnia. Głęboka rozgwieżdżona atlantycka noc. Mrugają do nas światła trzech hiszpańskich latarń morskich: Cabo da Villeda, Cabo da Finisterre i jeszcze jakiejś... Przeskoczyliśmy Biskaję!

Słońce nad Kantabryjskimi Górami wzeszło żółtkiem. Na stole w kubryku rozsłoneczniła się jajecznica. Nieco przypieprzona.

Wieczorem płyniemy już wzdłuż brzegów Portugalii...

6 kwietnia. W nocy minęliśmy Porto. O 6 na kursie zauważyliśmy jakieś wyspy nad wyraz urozmaicone w swojej budowie. Patrzymy na mapę, a to: Los Farillos, Ilha Belenga i Los Estebos. Wiatr nie ustaje. A że rozpogodziło się i widoczność jest doskonała, sycimy oczy widokiem Portugalii. O 17 mijamy Lizbonę. Świetnie widoczne, białe miasto u ujścia wielkiej rzeki Tag, u stóp wysokich wzgórz, nad obszerną zatoką. Płyniemy przez burą wodę przyniesioną tu przez rzekę.

Ciepło jest już tak wyraźnie, że pozbywamy się wszyscy grubszej bielizny. Nie na darmo żeglarze nazywają Cabo da Finisterre „Przylądkiem Ciepłych Gaci".

Nasz kochany Misiek oszalał. Zrobił gigantyczną zapiekankę z mnóstwem różności. Z kiełbasą między innymi. Nażarliśmy się wręcz nieprawdopodobnie. Tylko trzech zjadło całą porcję.

Już po ciemku przypłynęły delfiny. Świecą w ciemności zielono. Mało tego, że ich całe ciała świecą, ale również wlecze się za nimi zielonkawa smuga. Jest ich tym razem siedem. Figlują pod bukszprytem „Zawiszy".

7 kwietnia. Nad ranem minęliśmy Przylądek Św. Wincentego. Po obiedzie idziemy prosto w Cieśninę Gibraltarską. Olbrzymi ruch statków. Alarm do żagli. Zrzucamy wszystkie. Bo wiatr osłabł. Jest tylko 2° B. Idziemy Pół Naprzód na silniku. Robimy 7 węzłów. Po obiedzie znowu alarm do żagli. Kapitan przestawia wachty. Musimy wykazać się znajomością „nie swoich" żagli. Nawet to nieźle poszło. Szybkość znacznie zwiększona.

Po ciszy poobiedniej zajęcia przeprowadził osobiście sam Kapitan. Zapoznał nas ze wszystkimi dokumentami „Zawiszy", które statek musi mieć jako świadectwo zdrowia i całości najważniejszych elementów. Są to najróżniejsze certyfikaty i atesty.

Wieczorem obserwujemy księżyc pierwszego dnia nowiu. Widoczna cała tarcza, szara na tle granatowego nieba wieczoru. U dołu podkreślona srebrnym sierpikiem. Gwiazdy niskie, wyraźne. Przez cały wieczór towarzyszy nam łuna świateł Kadyksu, dużego portowego miasta Hiszpanii.

Cieśnina Gibraltarska, noc z 7 na 8 kwietnia.

WOJCIECH KUCZKOWSKI
Fot. **Jacek Majewski**

Lekcja astronawigacji, prowadzi ją dh Feliks Szczot

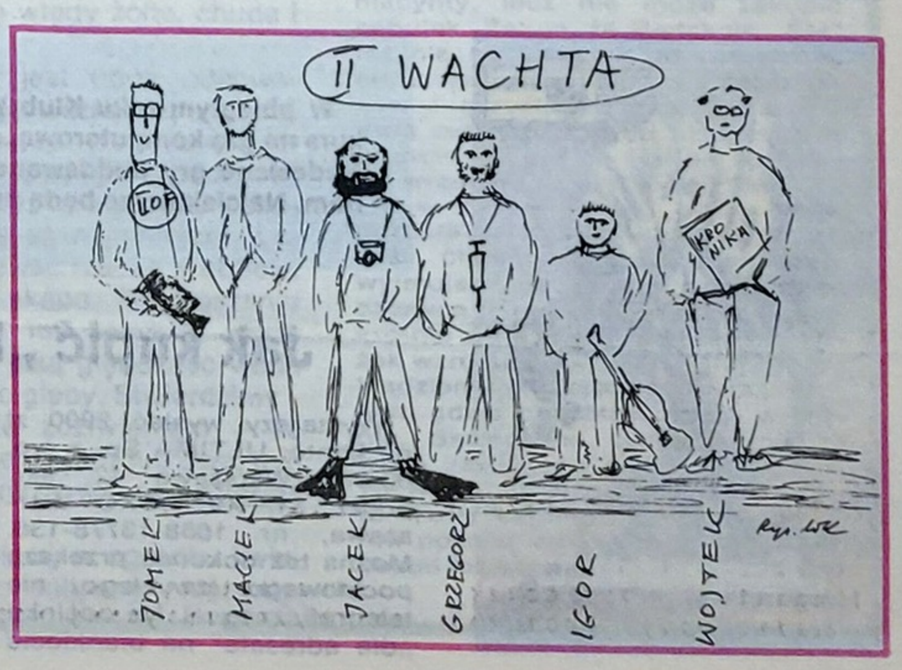

PRUSZKOWIACY

ZESPÓŁ TAŃCA LUDOWEGO „MOK - MDK"

Jeden z nastolatków przechodzących właśnie obok warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki rozejrzał się badawczo...

– Ale tłumy walą do tej Kongresowej! Ciekawe, co tu się dzieje?

– Stary...* – drugi z chłopców przystanął, wyraźnie czymś zaniepokojony – *...a może to Wonder przyjechał?!!

– Ponad miesiąc wcześniej? Niemożliwe! A poza tym – oi popatrz – przy wejściu rozdają program jakieś dzieciaki w ludowych strojach. Eee, nie – to nie może być Wonder...

Przed Państwem – Zespół Tańca Ludowego „Pruszkowiacy"!

Szybko, bo zaraz wchodzimy na scenę...

I ci młodsi, i ci starsi wywijali na scenie jak złoto

ALBOŚMY TO JACY TACY...

W tym czasie, kiedy ostatni zaproszeni goście zajmowali miejsca na widowni Sali Kongresowej, za kulisami trwały ostatnie gorączkowe przygotowania.

– Pamiętajcie, że po pieśniach kaszubskich macie tylko pięć minut na przebranie się, bo potem tańczymy suitę nowosądecką. Aha! I przypominam: młodsi wychodzą z prawej, a starsi – z lewej strony sceny... Szefowa zespołu – pani **Danuta Jaśkiewicz** biega zaaferowana od jednej garderoby do drugiej. Nie zaszkodzi dopilnować wszystkiego osobiście... Zwłaszcza, że przed tym koncertem było sporo przygód. Wczoraj, gdy w swej siedzibie pakowali stroje do walizek – najpierw zgasło światło. Niemal więc po omacku wyciągali z szaf potrzebne nazajutrz spódnice, spodnie, fartuszki i kamizelki. Potem, w tych ciemnościach ktoś potrącił kontrabas. Trrrach! – usłyszeli tylko i... było po instrumencie. Czarna rozpacz, bo złamany gryf nijak nie dał się naprawić... Na szczęście, w dniu koncertu udało się pożyczyć kontrabas od zaprzyjaźnionego zespołu z Politechniki Warszawskiej i kapela może teraz wystąpić w pełnym składzie.

Ufff...No, chyba wszystko w porządku. Można przysiąść na chwilę...

– Pani Danusiu! No, niech pani popatrzy! – jedna z dziewczynek wpadła właśnie do garderoby i demonstracyjnie „klapie" czarnymi trzewikami. *– Te buty spadają mi z nóg. Jak ja mam w nich tańczyć?*

– Cóż robić? – występ jest najważniejszy – wzdycha pani Danusia i już po chwili, oddawszy swoje obuwie, biegnie za kulisy na bosaka.

– Uwaga, kochani! Za chwilę wchodzimy... I oto ze sceny dobiegają słowa prowadzącego koncert Mieczysława Gajdy: *Poloneza czas zacząć... Przed Państwem* **ZESPÓŁ TAŃCA LUDOWEGO „PRUSZKOWIACY"!**

Kurtyna idzie w górę...

Z OTWARTYMI RAMIONAMI...

Kiedy w czasie studiów w warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego przyszło wybrać specjalizację – pani Danuta nie wahała się wcale. Zdecydowała, że najciekawsza będzie ta – choreograficzna. I to właśnie wtedy, podczas zajęć na uczelni, zamarzył się pani Danusi własny, choćby maleńki zespół...

W jakiś czas później, już z dyplomem w kieszeni, rozpoczęła pracę w Warszawie. Ale po roku postanowiła swe umiejętności spożytkować nie w stolicy, ale w mieście, w którym mieszkała – Pruszkowie. Tego samego dnia powędrowała do Domu Kultury... Przyjęto ją tu z otwartymi ramionami, bo placówce brakowało właśnie choreografa.

„W spadku" po istniejącym kiedyś zespole ludowym pani Jaśkiewicz dostała kilka kompletów strojów regionalnych. Może nie najpiękniejszych, bo trochę podniszczonych, ale zawsze...Było więc już z czym startować.

W lutym 1979 roku Danuta Jaśkiewicz zebrała pięćdziesięcioosobową grupę dziewcząt i chłopców. Z nimi przygotowywała pierwsze piosenki ludowe, ćwiczyła pierwsze kujawiaki i oberki. Kilkumiesięczna, ciężka praca dała efekty: jeszcze tego samego roku „Pruszkowiacy" zdobyli Puchar Przechodni podczas Warszawskiego Przeglądu Amatorskich Zespołów Tanecznych...

W ciągu następnych lat repertuar pruszkowskiego zespołu wciąż się poszerzał. Do melodii, pieśni i tańców z regionów łowickiego, warszawskiego, kurpiowskiego, krakowskiego i rzeszowskiego doszły te z Podhala, Nowosądecczyzny, Lubelszczyzny, Kaszub... Zespołowi przybywało także coraz więcej chętnych do wspólnego tańczenia i śpiewania. Dziś „Pruszkowiacy" to ponad 200 osób: od tych małych – sześciolatków, aż do zupełnie dorosłych – bo dwudziestoletnich.

Poczynaniom żony, pan **Henryk Jaśkiewicz**, z wykształcenia inżynier-elektryk, przyglądał się zawsze z ogromną wyrozumiałością. Może dlatego, że sam kiedyś na studiach tańczył w uczelnianym zespole ludowym...Aż któregoś razu zrezygnował z pracy w Warszawie, zatrudnił się w Pruszkowie po to, by częściej pomagać małżonce w „zespołowych" zmaganiach. Stopniowo i on także zaczął poświęcać „Pruszkowiakom" coraz więcej czasu, aż wreszcie przeniósł się do zespołu na dobre, zostając jego kierownikiem organizacyjnym.

Za kulisami, tuż przed koncertem państwo Danuta i Henryk Jaśkiewiczowie udzielają jeszcze ostatnich wskazówek

TAKA „CEPELIA"?

W dzisiejszym, jubileuszowym koncercie, zorganizowanym z okazji dziesiątej rocznicy istnienia „Pruszkowiaków" wzięli udział także dawni członkowie zespołu. Piotrek Gipsiak i Andrzej Rogowski dostali na tę okazję nawet przepustki z wojska... „Starzy" pruszkowiacy co prawda początkowo wzbraniali się przed publicznym występem twierdząc, że *„kondycja już nie ta", że „kości się zastały"*, ale... to była chyba tylko kokieteria. Bo w końcu wyszli na scenę i „wywijali jak złoto"!

Ci z dłuższym i ci z krótszym zespołowym stażem opowiadają o różnych reakcjach rówieśników, którzy dowiadują się, że ich koledzy są członkami zespołu ludowego...

Łukasz: *– Bywa, że podśmiewują się z nas. Chyba wydaje im się, że te nasze zajęcia, to po prostu... taka „Cepelia". Tańczyć oberka, gdy wokół króluje rock? Rzeczywiście, to mało popularne. Ale... trzeba spróbować samemu, by zobaczyć jakie to fajne!*

Magda: *– Sporo z nas przyszło do „Pruszkowiaków", bo tak naprawdę nie miało co robić z wolnym czasem. Ale w końcu tak się wciągnęliśmy, że teraz bez prób i występów – ani rusz! Wiem to po sobie. Sama jestem w zespole już dziesięć lat.*

Iwona: *– ...a ja osiem i mam zamiar tu być co najmniej do jubileuszu 15-lecia!*

Renata i Robert (oboje z trzyletnim stażem) dodają natychmiast: *a może nawet i dłużej!*

Skończyła się właśnie pierwsza część koncertu i do garderoby wbiegają zmęczeni wykonawcy. Dwadzieścia minut przerwy, żeby odpocząć i zmienić stroje. W drugiej części widzowie będą mieli okazję obejrzeć tańce zaczerpnięte z folkloru innych narodów: Białorusi, Mołdawii, Ukrainy i Gruzji...

– O rety! Pękło mi ramiączko. Pomocy! – Na szczęście jest „pod ręką" pani **Weronika Bugaj** – prawdziwy fachowiec, doskonała krawcowa i garderobiana. Takiego skarbu, jak pani Wera, może „Pruszkowiakom" pozazdrościć niejeden zespół! To ona szyła większość strojów tkwiąc nad maszyną w maleńkim, ciemnym pokoiku, nierzadko całe noce. Przez jej „rezydencję" przewijają się wciąż tłumy: tu coś trzeba skrócić, tam zszyć, dopasować, zwęzić. To ona, podczas wyjazdu do Gruzji, najpierw dokładnie przyjrzała się tamtejszym strojom ludowym, potem naszkicowała sobie ich projekty, a później, już w Pruszkowie, pięknie takie stroje skroiła i uszyła... Do niej przychodzą mamy i babcie członków zespołu, by według wskazówek pani Wery wyhaftować kolejne fartuszki i koszule... To ona staje zawsze na wysokości zadania i, gdy trzeba, zabiera ze sobą na koncerty maszynę do szycia, by już na miejscu dokończyć to, czego nie udało się zrobić w domu... Pani Wera jest po prostu niezastąpiona.

CIASNO, ALE...

– Pamiętajcie o uśmiechu! – podpowiada wykonawcom krzątający się za kulisami **Jan Pogorzelski** – chórmistrz zespołu. Pan Jan – były dyrygent Filharmonii Warszawskiej, wytrzymał na emeryturze tylko dwa miesiące. Kiedy trzy lata temu „Pruszkowiacy" zaproponowali mu współpracę – zdecydował się natychmiast. Tu, wśród młodych, jak sam twierdzi – nie czuje swoich lat... W przyszłości pan Jan chce stworzyć w pruszkowskim zespole młodzieżową kapelę. Może uda się „zwerbować" do niej uczniów szkół muzycznych? Kapela, która istnieje teraz – złożona z muzyków profesjonalnych, gra dobrze, nie przeczy, ale... pan Pogorzelski chciałby stworzyć zespół muzyczny, którego członkowie nie odbiegaliby wiekiem od tańczących i śpiewających kolegów.

„Pruszkowiacy" spotykają się na próbach cztery razy w tygodniu. Zdarza się jednak i tak, że ćwiczą codziennie. A warunki w jakich pracują? Prawdę powiedziawszy – nie najlepsze... Jakiś czas temu zespół znalazł „przytulisko" w świetlicy Pruszkowskich Zakładów Materiałów Biurowych i dzięki przychylności dyrekcji popularnych „Ołówków" „Pruszkowiacy" mogą przygotowywać tu swoje programy... Kiedy w niedużej sali na dole jedna grupa śpiewa, na górze – w większym pomieszczeniu – inni w tym czasie tańczą. Ci ostatni mają nad głowami „pięterko", gdzie ciasno, jedną obok drugiej ustawiono szafy z kostiumami. Duszno tu i kurzy się potężnie, gdy kilkadziesiąt osób na sali przytupuje w rytm żwawych melodii... Ale co robić? Na razie trzeba cieszyć się z tego, co jest i mieć nadzieję, że kiedyś spełnią się marzenia o dużej, przestronnej sali z lustrami i obszernym magazynie strojów...

W ciągu dziesięciu lat istnienia Zespół Tańca Ludowego „Pruszkowiacy" zdobył wiele nagród, dał ponad pięćset koncertów w różnych miastach kraju, występował w Czechosłowacji, Jugosławii, we Francji i Związku Radzieckim, uczestniczył także w koncertach „Dzieci Dzieciom" organizowanych przez „Express Wieczorny"...„Pruszkowiacy" nie próżnują i mają wiele planów na przyszłość. „Świat Młodych" życzy, by spełniły się wszystkie!

IWONA STARZYŃSKA
Fot. **Mieczysław Włodarski**

KLUB WYNALAZCÓW GIER

FANTASOLO

Każdy może wymyślać gry fantastyczne! Trzeba tylko wpaść na dobry pomysł, albo mieć dobry wzór. Takim dobrym wzorem jest fantasolo – schemat gier fantastycznych dla jednej osoby.

Pierwsza gra fantasolo została opublikowana w Polsce w tygodniku „Razem" przed dwoma laty. Ona stała się dla wielu „wynalazców" dobrym wzorem. Niektórzy przysyłali swoje gry do „Razem", inni rozpowszechniali w gronie znajomych i nieznajomych.

Teraz Twoja kolej. Aha, Ty nie znasz „Dreszcza" i nie masz na czym się wzorować? To nie problem. „Świat Młodych" przyznał grze „Dreszcz" tytuł Gry Roku 1989 i „Dreszcz" jest już do kupienia.

Gdy go zdobędziesz, poznasz – **spróbuj stworzyć własną grę fantasolo.** Najlepiej, by zawierała nowe pomysły, oryginalne reguły. Liczy się też styl, poprawna, ładna polszczyzna, bezbłędność. Najlepsza gra – jeśli będzie na to zasługiwała – zostanie wydana przez firmę ULTIMA, a autor otrzyma honorarium.

Kto ma ochotę, lubi rysować, może zabrać się za rysowanie. Najlepszą grę ubarwiać będą najlepsze ilustracje nadesłane na konkurs.

Czasu sporo – **do końca roku 1989**. Ale warto zacząć już teraz. Dobre gry nie przychodzą łatwo!

Prace należy nadsyłać pod adresem: **ULTIMA, Sp. z o.o. 00-961 Warszawa, skr. poczt. 42.**

Fot. **Jacek Sroka**

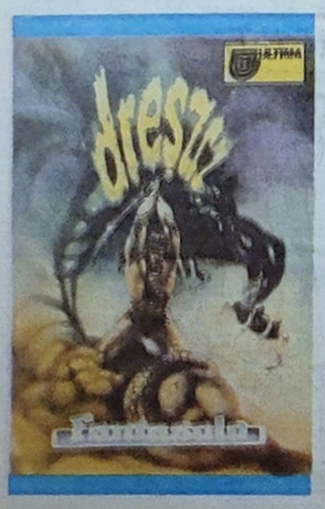

W ubiegłym roku Klub Wynalazców Gier ogłosił konkurs na grę komputerową...bez komputera. Nadesłane gry poddawane zostały „ostrym" sprawdzianom. Najciekawsze będą publikowane w czasie wakacji.

Jak kupić „DRESZCZA"?

Wystarczy wysłać 2900 zł na konto:, ULTIMA Sp. z o.o. 00-961 Warszawa 42, skr. poczt. 31, XV 0/PKO Warszawa, nr 1658-13778-136. Można też dokonać przekazu pocztowego (zwykłego, nie telegraficznego!). Na odcinku „dla adresata" na blankiecie należy podać swój pełny adres z kodem. W sprzedaży również: BOGOWIE WIKINGÓW (3000 zł), GWIEZDNY KUPIEC (2500 zł), TRANSSOLAR (5000 zł), BRUCE LEE (4000 zł, tylko w kompletach po 5 sztuk), FORTUNA (4000 zł).

COŚ ZA COŚ!

O wężach wie wszystko. Nie tylko jak je hodować, karmić, leczyć, rozmnażać, ale też czego można od nich oczekiwać mieszkając wspólnie pod jednym dachem, spacerując po przydomowym trawniku, jadąc razem samochodem.

Pan Jacek Muszyński, aktor, treser i zamiłowany hodowca gadów, swego pierwszego w życiu węża, rzadki okaz argentyńskiego boa oxydentalis, dostał prawie 20 lat temu od byłego dyrektora płockiego ZOO, inż. Taworskiego.

– Zwierzaki towarzyszyły mi od dziecka – opowiada – *kot, pies, chomiki... Ale to wciąż nie było „to". Owszem, można było z nimi pogadać, pobawić się. Ale dopiero węże, delikatnie mówiąc niepopularne w europejskiej kulturze (przecież już w raju chytry wąż...), zafascynowały mnie. Ani oślizgłe przy dotknięciu – skórę mają suchą i przyjemną – ani takie wredne...*

Żywe zbiory powoli się powiększały. Przywoził je z licznych podróży, wymieniał z innymi hobbistami, kupował. Para siatkowych pytonów (on powyżej 5 m długości, ona – „tylko" 4), młoda anakonda, 3 dorosłe samce i 2 samice boa, pyton ciemnoskóry tygrysi prosto z Wietnamu (smarkula: niecałe 2 m, złośliwa i niedobra;- zasłynęła tym, że była tresowana w ...kagańcu zrobionym z 2 cienkich gumek), beznogie jaszczureczki, żółwie lądowe, błotne, wodne i miękkoskóre (jeden leczy właśnie z dobrym skutkiem krzywicę zastrzykami z wapna i naświetlaniami lampą kwarcową). Są w tej kolekcji i egzotyczne jaszczury: waran indyjski i leśny, przywiezione z Tajlandii. I wreszcie krokodyl – kajman okularowy, młodziutki, bo zaledwie 7-letni, bardzo złośliwy i agresywny. No i chluba każdego hodowcy: około 30 jajeczek pytona. Misternie ułożone w kształcie stożka, chronione przez owiniętą wokół nich samicę, która w okresie lęgu nie przyjmuje pokarmu i reguluje temperaturę ciała tak, by jajeczkom nie było ani za zimno, ani za gorąco.

– Teraz – mówi z dumą pan Muszyński – *mam gadziarnię jedną z pierwszych w Polsce! Moi wychowankowie żyją u mnie z reguły dłużej niż w ogrodach zoologicznych. To logiczne: nie sposób tak samo dbać o 200 zwierząt jak o 30–40. Gryzą mnie często, brudzą, sprawiają trochę kłopotu. Zmuszają do rezygnacji z urlopów na ukochanych Mazurach. Co dzień, świątek czy piątek powtarzam te same czynności: podać jedzenie, wodnym – zmienić wodę, wykąpać tego, co sam się nie wykąpie. Potem wynoszę ten mój pełzający przychówek na trawnik przed dom, na słońce – po jednym! To jest nasz spacer. I pilnuję, żeby np. wąż nie wpełzł na drzewo, by nie uciekła jaszczurka (co zresztą raz się zdarzyło!).*

Cieszę się, gdy wąż je, smucę się, gdy nie ma apetytu. Co się dzieje?! – myślę. Czasem zdarza się, że zdycha któryś bez powodu. Po 10 latach hodowli – serce boli...

Jeśli zapyta pani filatelistę, dlaczego zbiera znaczki, pewno nie odpowie. Ja też; to moje „zbieractwo" weszło mi w krew – nie umiałbym już inaczej żyć...

Najstarszy wąż w hodowli pana Muszyńskiego ma 18 lat (5,39 cm dł.), najcięższy waży ponad 39 kg. Mieszkają luksusowo, w terrariach z basenami, ale tak na dobrą sprawę – mogłyby i w koszu. Wąż nie potrzebuje przecież tyle powietrza co człowiek – ma jedno płuco.

Czasem któryś towarzyszy opiekunowi w podróży...

– Wiozłem kiedyś węża z NRD. Drzemał sobie spokojnie zamknięty w wiklinowym koszyku na tylnym siedzeniu. Pruję do domu szybko, a tu nagle tuż obok mnie strzela do góry obcy łeb! Dziki, nieoswojony wąż! Że węże potrafią gryźć bardzo dotkliwie, wiem aż za dobrze. Ostrożnie więc

Fot. **Marek Szymański**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

POCZTA HODOWCÓW

Ewa Adamczyk z Katowic prosi o informacje na temat hodowli glonojadów, pospolitych ryb akwariowych. Interesują ją zwłaszcza zagadnienia rozrodu tych ryb, rozpoznawanie płci i sposób urządzenia zbiornika do ich pielęgnacji.

W akwariach europejskich hodowców spotyka się kilka gatunków glonojadów, ale najpospolitszymi i najlepszymi zjadaczami glonów są ryby z rodzaju Ancistrus (na zdjęciu jest samiec). Osiągają one do kilkunastu centymetrów długości, lubią wodę o temperaturze 23-28°C, dobrze natlenioną i najlepiej płynącą. Ruch wody w akwarium można wywołać przez odpowiednie skierowanie strumienia wypływającego z filtra. Samce glonojady mają większe antenowe brodawki na głowie, większe płetwy piersiowe i brzuszne. Ich pokarmem są glony, delikatne liście roślin (sałata) oraz resztki pokarmów pozostawionych przez inne ryby. Rozmnażają się w grotach, pod korzeniami lub w specjalnie dla nich ustawionych rurkach szklanych, plastikowych lub małych drenarskich. Prowadzą nocny tryb życia, dzień najchętniej przesypiają w ukryciu. Złożoną ikrą opiekuje się samiec, zapewniając rozwijającym się embrionom przepływ świeżej wody przez ciągłe wachlowanie jaj płetwami. Jego opieka kończy się, gdy młode wyklują się i zaczną poszukiwać pokarmu. Karmimy je sparzonymi lub mrożonymi liśćmi sałaty, szpinaku i siekanymi rurecznikami.

Parka glonojadów jest doskonałym dodatkiem do każdego akwarium. Nie można ich wpuszczać jednak do zbiorników, w których planujemy rozmnażanie ryb jajorodnych, gdyż glonojady mogłyby okazać się również ikrojadami.

Życzę sukcesów

ANDRZEJ KRUSZEWICZ

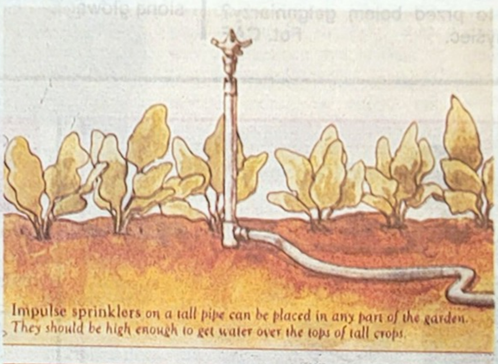

Impulse sprinklers on a tall pipe can be placed in any part of the garden. They should be high enough to get water over the tops of tall crops.

Sposoby automatycznego nawadniania. ***U góry zraszacz, z lewej strony – przewód z otworkami, z prawej – puszka z otworkami, do której co kilka dni nalewa się wody do pełna***

Repr. **J. Dąbrowski**

Zielono mi (197)

CO ROBIĆ W CZERWCU?

Wiadomo co. Uczyć się, pisać klasówki, zdawać egzaminy i ...bystro myśleć. Ale nie tylko. Warto codziennie odświeżyć „makówkę" na powietrzu i nawiązać kontakt z przyrodą. Można spacerować, można grać w piłkę lub jeździć na rowerze, lecz najłatwiej jest zbliżyć się do przyrody przy pracy w ogródku lub na działce. Tutaj codziennie możemy pobierać lekcje z biologii, ekologii lub wiedzy o środowisku.

Weźmy takie chwasty. W czerwcu wszystkie zasiewy na zagonkach już wykiełkowały, lecz niestety roślinki uprawne rosną bardzo wolno, podczas gdy chwasty szaleją. Wystarczy parę ciepłych dni po deszczu, by z zagonka zrobiła się łączka. Dlaczego chwasty rosną, a marchewka i ogórek nie, mimo że właśnie na nie dmuchamy i chuchamy? Wyjaśnienie jest proste. Chwasty znajdują się w swym naturalnym środowisku. Są u siebie. Są one doskonale przystosowane do niskiej lub umiarkowanej temperatury, do niezbyt żyznej gleby i do suszy. Ciepłolubny ogórek, lub cebula o delikatnych korzonkach nie ma żadnych szans, by sprostać konkurencji z perzem, ostem lub pokrzywą. Rośliny uprawne potrzebują pomocy. Chwasty trzeba niszczyć jak najwcześniej, gdy tylko wykiełkują. Najlepiej jest podcinać je płytko lekką motyczką w dzień pogodny i zostawić na miejscu. Wyschną w ciągu paru godzin. Nie warto wycinać chwastów w czasie deszczu, gdyż pozostawione na zagonie rosną dalej. Nie warto także spulchniać gleby głęboko między roślinkami uprawnymi, ponieważ wydostaje się na wierzch nowe nasiona chwastów, które szybko kiełkują i niweczą całą pracę. Jeśli za odchwaszczanie weźmiemy się zbyt późno, to chwasty bardzo szybko narobią szkody. Wyciągną z ziemi przyswajalne składniki pokarmowe i osłabią rośliny uprawne, które stają się wtedy żółte, chude i wyciągnięte.

Podlewanie jest obok odchwaszczania drugą ważną czynnością, od której zależy powodzenie w uprawie. Najlepiej jest podlewać wieczorem, gdyż straty wody wskutek parowania są najmniejsze. Lepiej jest podlewać rzadko a obficie, niż często a skąpo. Po zroszeniu ziemi z węża lub konewki warto sprawdzić na jaką głębokość woda przeniknęła do gleby. Stwierdzimy – na pewno ze zdziwieniem – że zaledwie na centymetr lub dwa, tam gdzie powinna być na dziesięć centymetrów.

Jeśli uprawiamy w ogródku kwiaty cebulowe: tulipany, hiacynty, krokusy, przebiśniegi i inne, to czerwiec jest dobrym okresem na wykopywanie cebul. Wykopane cebule przenosimy pod dach, gdzie po wysuszeniu mogą przebywać do drugiej połowy lata. Poczynając od sierpnia można je ponownie wysadzić. W ten sposób można uprawy kwiatów cebulowych znacznie rozszerzyć.

Czy pamiętacie, jak pięknie kwitły jabłonie w tym roku? Wyglądały tak, jakby je kto pokrył bitą śmietaną. Jeden bukiet kwiatów! A czy wiecie, ile jabłek powinno się zawiązać ze 100 kwiatów? Zaledwie 3 do 5. Jeśli zawiąże się 10, będą to nie jabłka, lecz malutkie jabłuszka nieprzydatne do jedzenia. Najlepsze są te jabłka, które mają po 100 – 150 gramów. Aby mogły tak wyrosnąć, powinny być na gałązkach nie gęściej jak co 15–20 cm jedno od drugiego. Piszę o tym, gdyż pod koniec czerwca jest odpowiednia pora do przerzedzenia jabłek, jeśli zawiązało się ich zbyt dużo. Sadownicy robią to na tysiącach hektarów, więc żaden problem by przerwać jabłka w ogródku na kilku jabłonkach. Przerzedzając zawiązki zrywamy najmniejsze i te, które mają wady, noszą ślady uszkodzeń od chorób lub szkodników. Zostawiamy najładniejsze, pojedynczo, nie w gronach, w odległości 15–20 cm jedno jabłko od drugiego. Zrywać zawiązki trzeba tak, aby jabłuszko spadło, zaś szypułka (zwana ogonkiem) pozostała na drzewie. Palcem wskazującym i kciukiem przytrzymujemy szypułkę, a palcem drugim naciskamy na zawiązek owocowy, który odpada. Radzę spróbować. Plon wcale się nie zmniejszy. Jabłek będzie mniej, lecz każde z nich będzie 2–3-krotnie większe.

AUGUSTYN MIKA

Zielona poczta

Małgosia Zalewska, Sierosław 36, 86–140 Dnycim, chciałaby uprawiać hiacynty, lecz nie może zakupić cebulek. Żałuję, że Redakcja „ŚM" też nie ma cebulek do rozesłania, ale może zgłosi się ktoś z Czytelników i przyśle Małgosi jedną lub dwie cebulki. Uprawa hiacyntów w gruncie jest prosta. Cebule sadzimy we wrześniu na głębokość około 10 cm w ziemię żyzną, gdzie mogą pozostać i rosnąć przez wiele lat. Jeśli chcemy cebule rozmnożyć, wyjmujemy je z ziemi pod koniec czerwca i nacinamy nożem kilkakrotnie od dołu, by uszkodzić stożek wzrostu. Tak skaleczoną cebulę kładziemy w miejscu suchym i ciepłym, gdzie pozostaje aż do września. Skaleczona cebula wytwarza wiele zawiązków nowych cebulek. We wrześniu wysadzamy ją do gruntu. Tutaj cebulki rozwijają się i w rok później można je oddzielić od cebuli matecznej.

(am)

UŚMIECH NUMERU

CHIRURG tłumaczy Mądrali:

– Mój chłopcze, operacja wyrostka robaczkowego, to dziś niemalże zabieg kosmetyczny! W parę godzin po operacji będziesz mógł chodzić, na drugi dzień wyjdziesz na małą przechadzkę, a na trzeci dzień będziesz biegał...!

– Panie doktorze, ale na czas operacji chyba pan mi się pozwoli położyć...?

☆

MĄDRALÓWNA tańczy z chłopakiem na szkolnej dyskotece. W pewnym momencie pyta go:

– Czy wiesz, jaka jest różnica między tańcem, a zwykłym chodzeniem?

– No, nie...

– Tak się domyślałam...!

UWAGA ÓSMOKLASISTO!

Zasadnicza Szkoła Górnicza nr 1 Kopalni Węgla Kamiennego „Zabrze-Bielszowice"

Zabrze, ul. Sienkiewicza 43, tel. 71-34-32

kształci wysoko kwalifikowanych specjalistów w następujących zawodach:
– górnik kopalni węgla kamiennego,
– mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego,
– elektromonter górnictwa podziemnego,
– mechanik maszyn i urządzeń przeróbczych.

Szkoła zapewnia uczniom:
– wysoką pomoc materialną w gotówce,
– dodatek adaptacyjny i premię do 50 proc. pomocy materialnej,
– dodatek w gotówce (kieszonkowe) 30 proc. pomocy materialnej,
– codzienny posiłek regeneracyjny,
– pełne umundurowanie,
– bezpłatne wyposażenie w podręczniki i przybory szkolne,
– bezpłatne zakwaterowanie w internacie oraz całodzienne wyżywienie.

W szkole istnieją bardzo dobre warunki do uprawiania sportu oraz możliwość ukończenia kursu prawa jazdy.

Po ukończeniu szkoły możliwe jest kontynuowanie nauki w 3-letnim Technikum Górniczym.

Absolwenci podejmujący bezpośrednio pracę w kopalni otrzymują bezzwrotną pożyczkę w wysokości 150 tys. zł.

K-52

ECH TA MODA...

Taką kreację proponowano na bal (chyba przyszły sylwestrowy) w czasie pokazu mody alternatywnej w Berlinie Zachodnim. A może zainspiruje Was to przed balem gałganiarzy? Warto o tym pomyśleć. Fot. **CAF**

KSIĄŻĘCE KŁOPOTY

Wielcy tego świata również mają swoje problemy. Żona brytyjskiego następcy tronu, księżna Diana, często ma kłopoty ze znalezieniem poszukiwanej części garderoby. Z tego powodu nadworny ochmistrz wynajął specjalistę od komputerów, któremu udało się zakodować zawartość książęcych szaf. A jest tego niemało – 300 sukien, 600 par butów, 400 kapeluszy i 100 torebek, nie licząc kilkunastu tysięcy sztuk bielizny osobistej, pończoch i rękawiczek. Ogromnie ułatwiło to codzienne życie księżnej Dianie. Wybierając się z wizytą wkłada do komputera dyskietkę i już wie, gdzie znajduje się poszukiwana część garderoby. Programu, który pomagałby dobrać elementy stroju nie trzeba opracowywać, wystarczy zdać się na książęcy gust.

Pozazdrościć? Współczuć? Roześmiać się? Na pewno nie popadać w kompleksy. Otworzyć szafę, wyjąć ukochane, nieco wytarte spodnie i iść na spacer z podniesioną głową.

(kil)

OSOBLIWY ZEGAR

Gary Seal – angielski zegarmistrz i artysta w jednej osobie na wykonanie tego zegara poświęcił pół roku. Odmierzająca czas „pisanka" zbudowana przez brytyjczyka w stylu Faberge zaprezentowana zostanie w Moskwie na wystawie przedmiotów użytkowych i artystycznych jednocześnie.

Fot. **CAF**

Gwarancja jakości

(PAP). W tunezyjskiej miejscowości Bizerta znajduje się restauracja „Tugra", w której każdy gość ma prawo zażądać od szefa kuchni, by ten skosztował potrawę, którą gość zamówił. Jeśli w czasie jedzenia klient nabierze podejrzeń co do świeżości produktów, może także zażądać, by kucharz zjadł danie do końca.

PSIA AKUSZERKA

(PAP). Niecodzienny przypadek świadczący o niezgłębionej mądrości zwierząt wydarzył się w Żninie, w województwie bydgoskim. W przydomowym gospodarstwie pana Fabiana Kranca wierna suka Jaga, wychowująca własne tygodniowe szczenięta, pod nieobecność pana udzieliła pierwszej pomocy porodowej maciorze. Sześć dorodnych prosiąt uwolniła od pępowiny, oczyściła je, a następnie nakarmiła, nie rozstając się ze swymi szczeniętami nawet na moment.

Kiedy wrócił właściciel i zwrócił prosięta wypoczętej już maciorze, suka popadła w straszliwą rozpacz. Na szczęście nie trwało to długo i wszystko wróciło do normy.

PROSTOKĄTY I PASECZKI...

Taką modę na wiosnę i chłodne dni lata proponują projektanci mody w Tallinie.

Fot. **CAF**

56

Wiesław Wernic

ZŁE MIASTO

Doktorze, ja nie mogę dłużej leżeć! Proszę zrozumieć, że w takiej sytuacji...

– W takiej sytuacji – wpadłem mu w słowo – nie wolno panu opuszczać tego pokoju. Nie jest pan fizycznie pełnosprawny. Jeśli dojdzie do spotkania z tą bandą, nie zdąży pan wydobyć broni. Jestem tego pewien.

Chociaż w moim stwierdzeniu było nieco przesady, przecież bandaż na piersiach na pewno musiał krępować ruchy rąk, zwłaszcza prawej.

Długo przyszło mi przekonywać Creniana, zgodnie z prośbą Harry'ego Lee, by zrezygnował ze swego zamiaru. Wreszcie ustąpił. Odetchnąłem. Po opuszczeniu sypialni pogadałem z Willim ostrzegając go o śmiertelnym niebezpieczeństwie, jakie grozić może Crenianowi, gdyby zechciał opuścić budynek. Obiecał, że przypilnuje szefa, a w razie potrzeby ... przywiąże go do łóżka.

Uspokojony opuściłem szeryfówkę. Gdybym wówczas wiedział, co jest powodem troski Pana Lee o zdrowie szeryfa, nie byłoby mi tak lekko na sercu...

Minęły trzy następne dni. Spodziewałem się przybycia Nevila. Zamiast niego zjawił się Harry Lee. Poznałem po minie, jak bardzo był zadowolony.

– Doktorze! – wykrzyknął na progu baru. – Sprawa została załatwiona.

Nie miałem pojęcia, o jaką sprawę chodzi. Lee wziął mnie pod ramię i powiódł w najdalszy kąt sali.

– Doktorze – szepnął – może pan swego szeryfa wypuścić z łóżka. Już mu nie grozi rewolwerowa kula, a Colding może spać spokojnie. Nie powtórzy się napad.

– Czyżby odjechali? – zapytałem myśląc o Jacku Hudsonie i jego towarzyszach.

– Lepiej jeszcze! Znajdują się teraz pod opieką szeryfa okręgowego, za grubymi kratami i z kajdankami na rękach. Ta cała banda to ludzie z Teksasu, poszukiwani listami gończymi. Niczego się nie spodziewali. To było całkowite zaskoczenie. Dali się rozbroić i skrępować jak baranki. Świetna robota!

– Dlaczego czyhali na życie szeryfa?

– Jeszcze nie mogę odpowiedzieć panu na to pytanie.

– Tajemniczy z pana człowiek – zauważyłem. – Jaką rolę odegrał pan w tej dziwnej historii?

– Proszę mi wybaczyć, że i na to pytanie nie odpowiem. Obiecuję, że za parę dni wszystko się wyjaśni.

Przestałem nalegać.

– A teraz, doktorze, proszę sobie wyobrazić, że podczas mojej krótkiej podróży spotkałem tego typa, który czepiał się panów.

– Broomsa?

– Właśnie jego. Okoliczności tak się złożyły, że w drodze do Center Point musiałem się zatrzymać na nocleg u pewnego farmera.

– Sebastiana Batesa, zapewne. I myśmy u niego nocowali.

– Wiem o tym. W tej farmie natknąłem się na Broomsa. Siedział tam już drugi dzień i czarował gospodarza gadaniem o swych umiejętnościach. Wydaje mi się, że moje przybycie pokrzyżowało jego plany, bo w trzy godziny później odjechał. Na... najlepszym koniu gospodarza! Swoją chabetę zostawił.

Roześmiałem się:

– Ale gałgan!...

– Bates zbyt późno się zorientował i pościg nie dał wyników. A co słychać w Colding?

– Nic godnego uwagi. Nieco kłopotu miałem z szeryfem. Gdy mu opowiedziałem o spotkaniu z Jackiem Hudsonem, najpierw o mało nie zemdlał, a potem koniecznie chciał wstać z łóżka.

– No, to teraz już nic nie stoi na przeszkodzie, jeśli tylko stan rany na to zezwala.

– Goi się znakomicie.

– Doskonale. Przepraszam, doktorze, mam dzisiaj jeszcze kilka pilnych spraw do załatwienia.

Skłonił się i odszedł.

Karol, który zamarudził tego ranka przy goleniu, zjawił się w barze hotelowym, gdy Lee już wyszedł. Powtórzyłem całą rozmowę.

– Dziwi mnie – powiedziałem na zakończenie – czemu to pan Lee tak się troszczy o zdrowie szeryfa. Przecież nie jest jego przyjacielem. Pytałem go o to, ale nie odpowiedział.

– Można było z góry przewidzieć, że ci nie odpowie. Lee jest wielce tajemniczym osobnikiem. Moim zdaniem przybył tu nie w żadnych sprawach handlowych, jak mówił, lecz w zupełnie innym celu. Sądzę, że prowadzi na terenie Colding i okolicy jakieś śledztwo.

– Uważasz go za policjanta?

– Albo za agenta pracującego na czyjeś zlecenie. Do czego zmierza, trudno odgadnąć, lecz to, że tak bardzo interesuje się szeryfem, chyba świadczy o kierunku śledztwa. Odnoszę wrażenie, że cała sprawa obraca się właśnie wokół osoby szeryfa. Zastanów się tylko, Janie. Czy przeciętny przybysz odwiedzający Colding w sprawach handlowych na wiadomość o grasującej w okolicy bandzie pojechałby szukać szeryfa okręgowego? Raczej spakowałby manatki i jak najszybciej stąd uciekł. Lee postąpił akurat odwrotnie. Już ten jeden fakt świadczy o roli, jaką tu odgrywa.

– Właśnie tego nie potrafię pojąć. Przecież tutejszy szeryf rozporządza wystarczającą liczbą ludzi, aby pokonać pięcioosobową bandę.

– Prawda, lecz szeryf jest ranny i nie wiadomo, jak zakończyłoby się takie spotkanie. A poza tym, być może Lee nie ufa szeryfowi. Dlatego właśnie prosił ciebie, abyś zatrzymał Creniana w łóżku.

– Ale dlaczego go tak chroni? – powtórzyłem pytanie.

– Tego nie dojdziemy. Przynajmniej dzisiaj. Dlatego radzę ci zająć się raczej kawą i grzankami, niż osobą szeryfa.

Zastosowałem się do tej rady, gdy barman ustawił przed nami tacę.

– Bardzo panów przepraszam – powiedział z pewnym ociąganiem – czy mogę dopisać do rachunku trzy dolary i dwadzieścia centów?

– Dlaczego? – zdziwił się Karol.

Cdn.

Specjalnie dla „Świata Młodych”

SZTAFETA ZAUFANIA

Dźwięczne głosy 15 dzieci amerykańskich przez blisko miesiąc słychać było w klasach i korytarzach moskiewskiej szkoły specjalnej nr 15. W towarzystwie dyrektora Centrum Języka Rosyjskiego i Kultury Szkoły Przyjaciół w Baltimore – Zyty Dabarce – przyjechały one do Moskwy pod koniec lutego.

Była to rewizyta uczniów ze Stanów Zjednoczonych. Przybyli do Związku Radzieckiego wraz ze swymi moskiewskimi rówieśnikami, którzy uczyli się w szkole baltimorskiej, mieszkali w rodzinach amerykańskich.

Taka wymiana uczniów stała się możliwa dzięki umowie podpisanej pomiędzy Państwowym Komitetem ZSRR ds. Edukacji Narodowej i amerykańską organizacją ds. wymiany uczniów starszych klas.

Przez całe 23 dni amerykańska młodzież mieszkała w domach rodzin radzieckich, chodziła na zajęcia prowadzone w radzieckiej szkole,

Amerykańskie dzieci z Baltimore uczestniczą w tradycyjnym święcie drugoklasistów „ABC”

Ostatni wieczór w Moskwie. Spotkanie w domu jednej z uczennic radzieckiej szkoły – Anny Pietrowej

zapoznawała się z radzieckim systemem oświaty. W wolnym czasie młodzież odwiedzała się wzajemnie, odwiedzała stołeczne teatry, muzea, wystawy. Młodzi Amerykanie zwiedzili największy rosyjski klasztor – Ławrę Troicko-Siergiejewską w Zagorsku, czyli w Starym Suzdalu, mieście założonym w X wieku.

Ileż interesujących spotkań odbyły dzieci w ciągu tak krótkiego czasu! Ileż interesujących rzeczy odkryły.

Ta wzajemna wymiana uczniów z radzieckiej i amerykańskiej stolicy dopiero stawia pierwsze kroki. I jeśli w roku bieżącym Związek Radziecki gotów jest do przyjęcia 400 dzieci z USA, w roku przyszłym – 1000, to już za kilka lat będzie mógł gościć u siebie kilka tysięcy spośród amerykańskiej młodzieży.

Przed wyjazdem do Leningradu, gdzie będzie realizowana dalsza część programu pobytu młodych Amerykanów w ZSRR ich opiekunka powiedziała, że taka wymiana uczniów jest bardzo pożyteczna. W ciągu kilku tygodni spędzonych w Moskwie młodzież amerykańska zaczęła lepiej mówić po rosyjsku, zapoznała się z życiem ludzi radzieckich, odczuła ich gościnność: „Brak mi słów, aby określić jak dobrze przyjmowali moskwianie moje dzieci. Wiele razy słyszałam: Rosjanie są tacy sami jak my. To chyba najważniejsze wrażenie, które dzieci zabierają ze sobą do domu. Chciałabym, aby takie kontakty stały się tradycją”.

JELENA TITOWA (APN)

COŚ ZA COŚ!

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4-5

hamuję, powolutku wysiadam... Grube rękawiczki, worek – udało się niesfornego pasażera wsadzić z powrotem do jego schowka.

Innym razem zaparkowałem samochód (oczywiście z moimi wychowankami) i poszedłem coś załatwić. Wracam – z daleka widzę tłumek wokół mego wozu, słyszę klakson. Biegnę więc zdenerwowany, może chcieli ukraść?! A to mój Kajtuś (boa) czołgał się po kierownicy i uruchomił sygnał...

Wśród zdrowych i szczęśliwych (w niewoli?!) trafił się i pupilek-pechowiec. Waran leśny, podobnie jak jego pan, uległ wypadkowi samochodowemu w RFN. Pan się wykurował, ale waran miał złamany ogon. Był operowany, ogon mu amputowano. Dobrze, że u pana Muszyńskiego nie musi się bronić, bo na wolności bez tego oręża walki byłby biedny...

Gdy praca i hobby łączą się w jedno, to chyba ideał. Tak właśnie ułożyło się życie pana Muszyńskiego. Ciekawe – pełne przygód, podróży, kontaktów z ludźmi i ulubionymi gadami.

– Nie zamieniłbym go na inny „model” – śmieje się. Naprawdę lubię te moje „padalce”. Pewno, że z nimi nie pogadam, nie popieszczę się. Ale cenię ich niezależność. Nie jestem wcale w tych sympatiach odosobniony. W Polsce coraz więcej jest domorosłych hodowców węży. Mieć jednego w domu – żaden problem. Malutkiego – łatwo się oswaja, a trudności z taką mini-hodowlą są naprawdę znikome.

Myśli pani, że gady są nieszczęśliwe w niewoli? Hm... Pisarz Wojciech Żukrowski powiedział kiedyś: „One mają wielkie szczęście, że tutaj trafiły. W Wietnamie dawno by je zjedli!”

A co do mnie – to choć węże zabierają mi szmat życia, dają za to radość! Coś za coś...

KRYSTYNA KLIMOWICZ

8,5 tysiąca kilometrów w ciągu 100 dni

ROWEREM PRZEZ EUROPĘ

14 września ubiegłego roku na katowickim Rynku zakończył swoją kolejną, siódmą już podróż pan Marian Kania – jeden z pasjonatów turystyki rowerowej w naszym kraju. Tym razem w ciągu 100 dni przemierzył 16 państw europejskich. Jechał przez NRD, RFN, Luksemburg, Belgię, Holandię, Francję, Andorę, Hiszpanię, Monaco, Włochy, San Marino, Jugosławię, Austrię, Węgry, Związek Radziecki i Czechosłowację. Trasę 8,5 tysiąca kilometrów pokonał na składanym rowerze „Universal” wyprodukowanym przez bydgoski Romet. Towarzyszyła mu żona – Barbara, jadąca samochodem serwisowym fiat 126 p.

Pan Marian Kania – ślusarz-mechanik z Elektromontażu-3 w Katowicach od kilkunastu lat uprawia turystykę rowerową. Swoje rowerowe wędrówki rozpoczął w 1974 roku, kiedy to po raz pierwszy wybrał się na samotny rajd dookoła Polski.

W trakcie swoich dotychczasowych podróży jeździł na kilku typach rowerów, m.in. na: „Wagantach”, „Pacerach” i „Flamingach”. Każdy z nich testował dla potrzeb producenta. Pan Marian mając w sumie 40 tysięcy kilometrów w nogach mógł bez wahania wskazać błędy konstrukcyjne pojazdów i sposoby ich usuwania.

7 czerwca pan Marian Kania na swoim „Universalu” wraz z towarzyszącą mu serwisowym „maluchem” żoną Barbarą – testującą samochód dla potrzeb Ośrodka Badawczo-Rozwojowego bielskiej Fabryki Samochodów Małolitrażowych – wyruszyli z Katowic. A kiedy wracali po trzymiesięcznej podróży, ojczyzna powitała ich ulewnym deszczem. 60 kilometrów „prysznicu” dało im tak do wiwatu, że przez dwa dni odpoczywali w ośrodku rekreacyjnym w pobliżu Nowego Sącza. I tam właśnie mieli najzabawniejszą przygodę. Pytali o drogę na Brzesko, a ludzie łapali się za głowy krzycząc, że to szaleństwo – 50 kilometrów na takim składaku!

Pan Marian planuje podróż po Afryce. Ma, jak twierdzi – dopiero 40 tysięcy kilometrów w nogach, więc do setki jeszcze mu trochę brakuje. Może po afrykańskim rajdzie wybierze się jeszcze na drugą półkulę. Kto wie?

KAZIMIERZ KRZYŚKÓW
Fot. **Piotr Lepszy**

Katowicki Rynek – 14 września 1988 roku – meta „Round Europa Poland”

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI, ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, telex 81-36-58
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003, Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42. **Sekretarz redakcji** Michał Malicki, z-cy sekr. red. Lidia Wojciewska i Grzegorz Burakiewicz tel. 28-25-48. **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 21-98-28), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Wojciech Wróblewski (dz. fotoreportażu tel. 21-98-28).

Graficy: Marlena Hanke, Szarlota Paweł i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Danuta Drygalska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń: 450 zł za 1 cm², 200 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa, nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch” Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe.
SKŁAD: Zakład Poligraficzny Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w Warszawie.
Zam. A-226/89. A-48.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Łodzi
Zam. 1375/89

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 71(4621)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

BINIO BIG 13

TEKST I RYSUNKI: JERZY WRÓBLEWSKI

BINIO BIG i 100 KARABINÓW

Autorką mego portretu „huzarskiego" jest **Ala Mól.** Zapisuję ją do Rzepklubu.

NOWE PAPIEROSY!

Zaprojektował **Łukasz Herman**, którego zapisuję do Rzepklubu. Konkurs trwał! I Ty weź udział w walce z nikotynizmem – pomyśl, namaluj, wyślij!

RZEPKLUB

Zamieszczone poniżej żarty rysunkowe wyszperał dla Was **Sylwek Zwolicki**, którego zapisuję do Rzepklubu.

Redaguje **WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI**

Cześć!

Mama przyprowadziła Jacusia do laryngologa.

– *No, Jacusiu, masz jakieś kłopoty z uszami?*

– *Mam, panie doktorze.*

– *Bolą?*

– *Nie. Przeszkadzają, jak wkładam sweter...*

★

– *Przyznaj się, Karolku! Zadanie domowe napisała za ciebie twoja mama!*

– *Tak, ale ja za to obrałem ziemniaki...*

★

– *Panie władzo, zgubiłem portfel z dużą sumą pieniędzy!*

– *Gdzie?*

– *Na schodach. Znalazł go syn mego sąsiada.*

– *Więc o co chodzi?*

– *Żeby znaleźć tego syna...*

★

– *Gdzie jest herbata, kochanie?*

– *Ty nigdy nie umiesz nic znaleźć! Jest w apteczce, w puszce po kakao z nalepką „sól glauberska"!..*

Do zobaczenia!

Wasz **Rzep**

– Tutejsze liany do złudzenia przypominają węże...